Nr. 32. | Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 10 sierpnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Szkoły i wychowanie w Polsce.

Przegląd historyczny od najdawniejszych do najnowszych czasów

napisał

Alfred Szczepański.

(Ciąg dalszy.)

Panowanie Jezuitów było wyłączne, powszechne — oni też za skutki odpowiadać muszą; a skutkami temi były znikczemnienie i ciemnota całéj rasy, upodlenie jéj na długie lata — wszystko jakoby na chwałę P. Boga — a na istotny pożytek zaborczych sąsiadów Rzeczypospolitéj. Takie klęski zadali Jezuici Polsce w sprawie wychowania, a panowanie ich tém było pewniejsze, że działalność swoją rozciągali wprost i na sprawy państwa. Dosyć tu przypomnieć, że oni to zniszczyli fanatyzmem swoim jedyną za Zygmunta III sposobność zapanowania Polski nad Moskwą. Rola ich zatém w dziejach naszych jest stanowczo osądzoną — nawet Szujski w historji swojéj łamie nad niemi laskę. Przytoczę tu zatem jeszcze sąd, jaki ten historyk o ich systemie wydaje.

Pisze on: „Przy każdém kolegjum istniała szkoła a zachód koło niéj był głównem braci jezusowych zatrudnieniem. Pochlebiając próżnościom ludzkim, dumie panów, zamiłowaniu w widowiskach i wystawności ludu, umieli oni ściągać młodzież znaczniejszą i uboższą do siebie, wypróżniając powoli ławy podupadających szkół protestanckich a nawet saméj akademji krakowskiéj. Szumnie odprawiane popisy i uroczystości kościelne i szkolne, dramata grane przez uczniów przed publicznością, drukowane wierszydła okolicznościowe, wszystko to czczym blichtrem zręcało i mamiło ludzi i zastępowało głębszą naukę, któréj Jezuici nie lubili. System w ich szkołach przyjęty mordował uczniów długą i powierzchowną nauką lichéj łaciny, nienaturalnego stylu i złego smaku w wymowie i poezji, nużył ćwiczeniami duchownemi i subtelnościami teologji, chroniąc ich przedewszystkiém od wszelkiéj wiedzy szerszéj, wszechstronniejszéj, która zdaniem nauczycieli mogła tylko zaprowadzić na bezdroża. Dalecy od chęci wyrabiania uczniów swoich na ludzi z samodzielną myślą, z duchem nad stan i wiek podniesionym, Jezuici poddanych ich opiece paniczów kształcili na butnych a uległych wpływowi swemu panów, szlacheckich synków na pobożną ale zapalczywie przy swobodach swoich obstającą szlachtę, słowem: wychowanie ich nie starało się o wytrzebienie błędów społecznych, rozwój nowych zasobów narodowych, wychowanie to utrzymywało status quo, który koniecznie upadek za sobą pociągnąć musiał. Ze szkół jezuickich wychodzili ludzie bez szerszych pojęć obywatelskich, ludzie bez wyrobionego obywatelskiego sumienia, którzy dopełniając codziennie aktów pobożności, zachowując się w granicach moralności osobistéj, nie umieli wznieść się na to wysokie stanowisko, do którego Rzeczpospolita ludzi szlacheckiego stanu powoływała, a wiodąc życie bez jutra, zbyt szybko ujrzeli ojczyznę nad brzegiem przepaści. Co więcéj, Jezuici wyrobili w społeczeństwie religijność pozorną, dewocję faryzeuszów, lekkomyślne zaufanie w przebaczenie win publicznych i prywatnych za pomocą hipokryzyjnego nabożeństwa.

Dążąc do zmonopolizowania wychowania publicz-

nego, Jezuici wywróciwszy kredyt szkół dyssydenckich, wzięli się do akademji krakowskiéj, znacznie już z powodu braku funduszów podupadłéj. Kolegjum śś. Piotra i Pawła otworzywszy szkoły, miało podkopać akademję. Skarżyli się akademicy u papieża, u króla, u sejmu. Wiedziono zażarty spór ustnie i pisemnie. Jezuici nie wahali się popełnić sfałszowania w ustawach synodalnych piotrkowskich roku 1589 na rzecz swojéj sprawy. Kapituła z biskupem Goślickim stanęła po stronie praw akademji; Rzym r. 1627 Jezuitom szkoły daléj prowadzić pozwolił. Akademja biedna, opuszczona upadała coraz więcéj, a z nią światło prawdziwéj nauki.

Ogarniając w ten sposób wyłączny ster wychowania, nie omieszkiwali Jezuici innych środków rozszerzenia swojéj potęgi. Opanowawszy dwór królewski, rozsiedli się oni w roli spowiedników i kapelanów po dworach możnych panów, kazali w kościołach a odbywając misje, wykorzeniali herezję i zyskiwali dla zakonu swego powszechne zaufanie. Dysputami i księgami polemicznemi dojadali upadającemu różnowierstwu, które im nauką podupadłą podołać nie mogło. Kadząc znakomitościom krajowym wystawném przyjęciem i pochwalnemi panegirykami, umieli oni zręcznie pozyskiwać je dla siebie i z każdym rokiem powiększało się grono ich dobrodziejów."

Z wszystkimi prawymi miłośnikami ojczyzny dawnych i nowych czasów zgodzić się musimy na to, że zakon pracował dla celów własnych, dla polityki zewnętrznéj, że był państwem w państwie, że członkowie jego nie mogli być, chyba wyjątkowo, prawymi obywatelami. Zakon jezuicki władztwo papieskie nad światem podupadłe zupełnie chciałześrodkować w sobie, a nie mogąc działać otwarcie, działał intrygą i fałszem, wślizgał się, aby mącić i zaciemniać. Gościnnie przyjęty w Polsce, czarną odpłacił jéj niewdzięcznością: nienawidził jéj szlacheckiéj wolnomyślności, i chętnie służył intrygom obcym, ba! gotów był nawet poświęcić dobro Rzeczypospolitéj dla błachéj nadziei nawrócenia Rosji. Dla tego musimy w Jezuitach uznać jednę z przyczyn moralnego upadku, którego skutkiem był upadek polityczny. —

Po tém wyjaśnieniu prowadzimy daléj rozpatrzenie szkół średnich.

Unici na Rusi nie mieli jeszcze seminarjów ruskich, księża ich uczyli się w seminarjum w Wilnie i w kolegjum Teatynów we Lwowie.

Natomiast Bazyljańskie szkoły wyższe ruskie w Wilnie, Lwowie, Sceptowie, Dobromilu, Ławrowie, Połocku, Żyzowicach, Witebsku, Włodzimierzu, Łucku, Żydyczynie, Chełmnie urządzone były nakształt jezuickich, z jedyną różnicą obrządku.

Obrządek dysunicki posiadał, oprócz akademji kijowskiéj, dopiéro od końca XVI wieku szkoły: we Lwowie, Wilnie, Ostrogu, Winnicy, Połocku, Mińsku. Uczono tam oprócz zwykłych przedmiotów czytać i pisać po polsku i po rusku, a raczéj starosławiańskiego języka. I tutaj była celem nie nauka, ale szermierka przeciw unji; były to nędzne seminarja, z których wychodzili ciemni popi.

Protestanci zakładali dosyć gorliwie wyższe szkoły. Były one lepsze od innych o tyle, że język polski przeważał w nich nad łaciną, i że lepszych niektórych używali książek n. p. Komeniusza; zresztą i tutaj było celem wyznanie, szermierka z „papieżnikami." To też uczniowie ich w odwet Jezuitom wyprawiali częste bunty i napaści, z czego brały pochop opanowane przez Jezuitów sejmy i trybunały, aby znosić ich szkoły, jakoby dla ogólnego spokoju. Tak n. p. sejm r. 1633 nakazał Sienieńskiemu, naczelnikowi Arjanów, pod zagrożeniem rocznéj kary 10,000 złot. pol. zamknąć wszystkie szkoły w Rokowie i ministrów rozpędzić. W skutek takich wyroków, jak i w skutek upadku protestantyzmu w Polsce, żadna z tych szkół, wyjąwszy luterskie, połowy XVII wieku nie przetrwała.

Socynjanie mieli szkoły wyższe pięcioklasowe: w Lewartowie, gdzie do śpiewu kościelnego używano psalmów Kochanowskiego, w Rakowie, w Kisielinie, Łusławicach; szkoły niższe w Śmiglu, Landeczu, Czerniechowie, Chmielnikach, Uszymirsku, Kostrowie.

Kalwini mieli szkoły wyższe: w Krakowie, Dubiecku, Secyninie, Bychowie, Okszy, Łańcucie, Krasnobrodzie, Bełżycach, Kostkowie, Wilnie, Brześciu, Nieświeżu, Siemiatyczach, Szydłowie, Birżach, Kiejdanach, Słucku.

Bracia czescy mieli szkoły w Poznaniu, Ostrogu, Koźminku, Wieruszewie, Łobienicy, Barcinie, Lesznie.

Szkoły luterskie w Wielkopolsce i Prusach lepiéj były urządzone, lecz były zupełnie niemieckie. Ukończeni uczniowie wychodzili z nich po największéj części na posady zagranicę. Wyższe 4-klasowe były: w Wschowie, Rawiczu, Lesznie, Zdunach, Bojanowie, i krótkotrwałe w Poznaniu, Grodzisku, Miłostężu — ostatnie 4 były polskie. W Bojanowie było miejskie gimnazjum o 6 klasach; najlepszą zaś była szkoła w Lesznie, uczono tam religji, łaciny, języka polskiego i niemieckiego, rachunków, historji i geografji. — Niższe dwuklasowe były: w Międzychowie, Międzyrzeczu, Szlichtyngowie, Śmiglu, Skwierczynie, Kargowie.

W Toruniu było luterskie gimnazjum o 6, potém o 11 klasach. Wyjątkowo dawano tu nauki od początków: w 11 klasie czytać i pisać; od 10 do 4 włącznie była szkoła miejska, 3, 2 i 1 stanowiły gimnazjum właściwe. Wykładowym językiem był łaciński, potem niemiecki, polski był tylko przedmiotem podług gramatyki Moneta, czytano przytem Rykota: Monarchję turecką, Lubomirskiego: Próżność i Prawda, i gazety warszawskie. Zresztą oprócz przedmiotów tych samych, co gdzieindziéj, uczono: Puffendorfa prawo natury i narodów, języka francuskiego, przyczem czytano komedje Moliera, historji powszechnéj i kościelnéj, luterskiéj muzyki. Taki był plan — zmieniany kilkakrotnie. Liczba młodzieży bywała bardzo znaczna, Polaków bywało po 157. Władzą szkólną był magistrat.

W Gdańsku było gimnazjum 5-klasowe i osobne kursa; dawano tam i początków nauk przyrodniczych, była katedra języka polskiego, lecz miała bardzo mało uczniów. Wyprawiano i tutaj komedje, djalogi, dysputy; młodzieży bywało po 220. W Elblągu było gimnazjum urządzone nakształt toruńskiego. Cisnęła się tam młodzież z Polski, Litwy, Rusi, z Niemiec i Szwecji. W Malborgu była wyższa szkoła miejska.

Do średnich szkół należą i zakłady XX. Pijarów, którzy je urządzali od r. 1657 z zamiarem działania przeciwko szkodliwemu wpływowi Jezuitów. Zostawały one pod wyłączną władzą zakonu: prowincjała, rektora, prefekta, nauczycieli. Pijarzy zrazu trudnili się tylko początkowém wychowaniem: katechizm, czytanie, pisanie, rachunki; późniéj otwierali i wyższe szkoły. Bywało w nich 7 klas: 1) parva infima: czytać, pisać, rachunki, łacina; 2) infima major: to samo i katechizm; 3) gramatica: części mowy, pisanie listów, Cornelius, bajki Fedra; 4) syntaxis: składnia, listy, mowy, Cezar; 5) poetica: metryka, wiersze, epigramata, Ovidiusz, Horacy; 6) rhetorica: historja rzymska, historja Kromera, mowy Załuskiego; 7) philosophia: loika, etyka, metafizyka, geometrja.

Pijarzy tak jak Jezuici wiele czasu uczniów marnowali na bractwa, ćwiczenia duchowne; jednak szkoły ich od początku były lepsze. Nauka bowiem w nich nie miała charakteru polemiczno-religijnego, ukrócili wyłączne panowanie łaciny, starali się poniekąd o praktyczne obywatelskie wykształcenie młodzieży. Służyły

do tego djalogi, oracje, sejmiki szkólne. Odbywały się one publicznie, niejako popisy, a treścią ich nie były, jak u Jezuitów, djalektyczne bzdurstwa, lecz przedmioty ważne, krajowe n. p. o wojsku, o tolerancji, o szpitalach, o liberum veto. Lepszą też była moralność i karność młodzieży, któréj tu nie podjudzano na różnowierców i nie schlebiano z umysłu jéj szlacheckim narowom. Takich kolegjów mieli już kilkanaście w téj epoce.

Szkoły specjalne. Władysław IV, a potem Krzysztof Miroszewski, sekretarz królewski, zajmowali się założeniem szkoły wojskowéj. Odtąd obowiązek ten umieszczono w „pacta conventa."

Na mocy uchwał soboru trydenckiego powstawały w téj epoce seminarja duchowne, z kursami 3 do 4 lat, Jezuitów, misjonarzy i księży świeckich. Nowicjaty i szkoły wyłącznie dla zakonników były u Cystersów, Benedyktynów, Norbertanów Trynitarzy.

Gminy żydowskie fundowały na początku téj epoki własnym kosztem zakłady naukowe wyższe i średnie, zyskując na to pozwolenie królewskie. Roku 1567 Zygmunt August zezwala na wystawienie kosztem gminy gimnazjum żydowskiego w Lublinie, powierzając jego kierunek rektorowi, który ma być wybierany z grona miejscowych rabinów i doktorów, promowanych na akademjach żydowskich. Ażeby zaś zwierzchność żydowska, seniorzy, nie wpływali na talmudyczną jednostronność w wychowaniu, w tym celu, stosownie do życzeń, objawianych nawet między żydami, przywiléj wyjął rektora z pod władzy rabina, owszem rektorowi oddał zwierzchnią władzę nad doktorami i rabinami lubelskimi.

Po upadku atoli szkół żydowskich za ostatnich królów, bywały już tylko szkoły prywatne, w których najmowani nauczyciele uczyli pisać i czytać po hebrajsku w celu wprowadzenia uczniów do nauki talmudu. Nauka u Żydów upadła więc zupełnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

IV. Nieczyste dusze.

W ten sens mówił ksiądz jeszcze daléj — August go nie słuchał — uwaga jego w téj chwili zajęta była innemi myślami. Szło mu o przekonanie się, czy jego podejrzenia względem stosunku Zenona z Anetą są prawdziwe; czy to ich schadzkę podpatrzył dziś w nocy. — Niecierpliwość i niepokój nie pozwoliły mu długo bawić u proboszcza. Pożegnał go więc i wracał do pałacu szarpany strasznemi podejrzeniami, niepewnością, rozpaczą. W bramie spotkał Zenona wsiadającego na konia.

— A, wróciłeś już — rzekł tenże podając rękę Augustowi. —

— Czy masz pilny interes? —

— Chciałem się trochę przejechać. —

— Możesz mi poświęcić chwilkę czasu? — Mam z tobą parę słów pomówić. —

— Owszem — odrzekł Zenon zaniepokojony nieco poważnym tonem, z jakim August mówił do niego. — Oddał konia służącemu, a sam poszedł za Augustem. — Weszli do mieszkania Zenona. Tu August bez ogródek przystąpił wprost do rzeczy i rzekł:

— Zenonie, powiedz mi pod słowem honoru kto była ta kobiéta, z którą wczoraj widziałem cię w ogrodzie?

— Wczoraj? —

— Tak, wczoraj w nocy. —

— Nie myślałem, że się bawisz w podpatrywanie cudzych sekretów.

— Nie o zabawę tu chodzi, ale szczęście moje — odrzekł surowo August, przeszywając piorunującym wzrokiem Zenona. — Nie chodzi mi wcale o twoje sekreta — gdyby nie to, że tu i ja w grę wchodzę. — Odpowiedz mi więc, kto była ta kobiéta.

— Za kogoż to mnie masz, jeżeli sądzisz, że miałbym czoło zdradzać kobiétę. Byłoby to niehonorowo.

— Nie honorowo — rzekł August i cierpki, szyderczy uśmiech skrzywił mu usta. — A toż jest honorowo, że wkradłeś się do raju, który już do mnie należał, że podkopałeś i zrujnowałeś moje szczęście — a może i czyjeś więcéj? —

— Znowu kazanie.

— Nie, tylko policzek — odrzekł August tracąc odwagę — policzek, jaki daję twojemu honorowi.

— Chcesz satysfakcji? —

— Nie, dziś nie mógłbyś mi dać żadnéj za to, co mi zrobiłeś. Ja tę kobiétę kochałem, kochałem miłością pierwszą, prawą i dziewiczą. Tyś ją uwiódł ponętnemi słowy, na jakie mnie stać nie było — ona dziś już nie może być moją, bo ciebie kocha. — Dla ciebie to ona porzuciła plebanję. —

— Ależ egzagerujesz Auguście, jak honor kocham egzagerujesz. To sprawa księdza Albina i mojéj matki. Oni oboje dla ocalenia duszy téj panny, dla utwierdzenia jéj w wierze usunęli ją z pod zgubnego wpływu proboszcza. — Ja w tém najmniejszego nie miałem udziału.

— Mniejsza o to; dość, że ją zbałamuciłeś. — Ona dziś kocha ciebie, wierzy w twą miłość. — Jeżeli więc nie ziścisz jéj nadziei, jeżeli ją zwiedziesz — ja porachuję się z tobą. Wtedy zażądam od ciebie satysfakcji. O to, co do mnie już nie należy, bić się z tobą nie będę, ale za jéj szczęście ty mi odpowiesz. — Usuwam się — nie chcę nawet widzieć téj, na któréj tak boleśnie się zawiodłem, ale pamiętaj, że się upomnę o jéj prawa do ciebie. — Na teraz skończyliśmy ze sobą. —

W parę dni po téj rozmowie August opuścił Wybrzeże. Na pożegnanie był u proboszcza, objaśnił go względem stosunku Zenona do Anety i prosił go, by czuwał nad jéj szczęściem i doniósł mu o tém pod adresem, który mu zostawił. — Przejeżdżając przez Kraków August nie zatrzymał się wcale, choć mu się nie spieszyło tak bardzo do Wiednia. — Wstyd go było spotkać się teraz z Józią i przyznać się do tego, co zaszło. — Pojechał więc wprost do Wiednia. —

Był tak cały pod wrażeniem smutku, że długi czas nie mógł niczém się zajmować, myśleć o niczém. Dopiéro po paru tygodniach przypomniał sobie zlecenie, jakie mu dała Józia względem Zygmuntka. — Pewnego

więc dnia poszedł odszukać go podług adresu, który miał zapisany w pugilaresie. —

Mały Zygmuntek chował się na jednéj z bocznych uliczek przedmieścia Alser u familji stolarza biednego ale uczciwego. August znalazł Zygmuntka na dziedzińcu bawiącego się z dziećmi. Poznał go zaraz po jasnych pierścieniach włosów, które bujnie otaczały twarzyczkę jego i po zgrabnym delikatnym nosku, który mu przypominał Józię. — Zawołał na niego po polsku. — Chłopczyna się zdziwił, przerwał zabawę i utkwił w nieznajomym spojrzenie. — Za drugiém zawołaniem porzucił dzieci i pobiegł do Augusta. —

— Pan przychodzisz od cioci? — nieprawdaż? — zawołał dzieciak uradowany.

— A ty zkąd się tego domyśliłeś mój mały? — spytał August biorąc go za drobne rączki i nachylając się ku niemu.

— Bo mówisz do mnie tą samą mową, którą ona ze mną mówiła. Czy ciocia przyjechała? —

— Nie; ale zgadłeś, że od niéj przybywam. —

— Pan ją widziałeś? — A nic mi nie pisała w ostatnim liście o tém. —

— Jakto, więc ciocia pisuje do ciebie? Wprost do ciebie? —

— Dla czegożby nie. —

— A któż czyta ci listy? —

— Ja sam — odrzekł dzieciak z dumą. — Ja już i piszę, ale tylko ciotka może zrozumieć najlepiéj czego ja chcę. —

August z zajęciem przysłuchiwał się szczebiotaniu chłopca i przypatrywał się jego mądréj i sprytnéj twarzyczce. —

— I dobrze ci tutaj? — spytał po chwili malca.

— Gdyby ciotka była, byłoby mi lepiéj. Ona mnie tak całowała, pieściła — a teraz nikt mnie nie całuje. —

Dwie łezki przy tych słowach jak brylanciki zaświeciły w modrych oczętach chłopca. — August schylił się do niego i wycałował te łzy. Malec objął szyję jego rękami i zawisnął na niéj. —

— Czy pana ciocia całowała także? —

Naiwne to pytanie zmieszało trochę Augusta. Nie wiedział zrazu, co na nie odpowiedzieć. — Chciał go zbyć milczeniem. Gdy jednak chłopiec gwałtem napierał się odpowiedzi, odrzekł:

— Ja już za duży, żeby mnie ciocia całowała. —

— Więc i mnie całować nie będzie, gdy będę duży. To ja nie chcę być duży. —

— Inna rzecz z tobą. Ciocia ciebie kocha. —

— A pana nie kocha? To panu musi być źle na świecie. —

— Ciocia twoja ma do mnie zaufanie, przyjaźń i dla tego poleciła mi zająć się tobą. —

— Więc będziesz się mną zajmował. Będziesz tu częściéj przychodził do mnie? O to dobrze. — Mowa twoja będzie mi przypominać choć trochę ciocię.

August w rozmowie z chłopcem dziwnie miłego doznawał uczucia; naiwne szczebiotanie jego działało uspakajająco na zbolałą duszę. — Sympatycznie przylgnął do niego i postanowił na serjo zająć się jego losem. Zaczął od tego, że wziął chłopca ze sobą do najbliższego krawca, by mu staranniejsze dać ubranie. Skoro wyszli od krawca, Zygmuntek naparł się iść z Augustem na spacer. August zaprowadził go do Volksgartenu — ztamtąd pojechali omnibusem do parku miejskiego. Chłopczyna pierwszy raz tam był; to też wszystko go niesłychanie bawiło i najrozmaitszemi pytaniami zarzucał swego towarzysza. — August odpowiadał mu chętnie i dziwił się, że tyle znalazł przyjemności w towarzystwie dzieciaka. To też przedłużał ile mógł spacer, a że chłopczyna był znużony i głodny, więc wszedł z nim do kawiarni. Tu ubawił się uwagami, jakie malec robił nad różnemi przedmiotami. Pierwszy raz bowiem znajdował się w tak wytwornym lokalu wśród takiego zebrania ludzi; to też wszystko go bawiło i zajmowało. —

Gdy wyszli, malec spytał Augusta, gdzie mieszka i chciał gwałtem zobaczyć to jego mieszkanie. A że nie wiele było z drogi, więc August zaprowadził go do siebie. —

— Jak tu pięknie u ciebie — rzekł Zygmuntek, gdy weszli — to nie tak jak u mego Fritza. Z ciekawością począł oglądać wszystko po szczególe — wszędzie zajrzał, wszystkiego się dotknął. August usiadłszy za stołem, przypatrywał się z zajęciem ciekawemu chłopcu. — Mieszkanie wydawało mu się mniéj puste, mniéj smutne. —

Nad wieczorem August zeszedł na dół, aby zawołać służącego. Zabawił nieco dłużéj. Gdy wrócił, zastał chłopczynę śpiącego na kanapie. Długi spacer, wrażenia, jakich dziś doznawał, umęczyły go i uśpiły. August nie chciał go budzić, a że sen trwał długo, więc postanowił już na tę noc zatrzymać go u siebie; dał tylko znać o tém na Heugasse, aby się o chłopca nie kłopotano. Długo w noc czuwał przy śpiącéj dziecinie. Patrząc w zarumienioną twarzyczkę jego przypomniał sobie ową chwilę, gdy Józia pierwszy raz pokazała mu go u siebie. Od tego czasu jakaż zmiana zaszła w jego duszy. Tę, którą wtedy pogardzał, którą tylko z litości nie odpychał od siebie, dziś musiał szanować; postać jéj rozjaśniła się w jego duszy; gdy przeciwnie ta, którą wtedy otoczył wszystkiemi urokami cnoty, dziś upadła w jego oczach. Od tego przedmiotu przeszły i wróciły myśli jego znowu do Zygmuntka. Pomyślał sobie, czyby nie lepiéj było, aby sam zajął się wychowaniem tego chłopca, niż zostawiać go wśród obcych. Ten projekt uśmiechał mu się, bo serce potrzebowało kochać kogoś, do kogoś się przywiązać. Zdawało mu się, że Zygmuntek wystarczy mu, nie podejrzywał swego serca, że w tém przywiązaniu dla chłopca kryło się inne, głębsze uczucie dla ciotki jego. — Z tą myślą usnął. W nocy śniła mu się Józia, jak całowała jego nogi i patrzała na niego z wyrazem radości i wdzięczności. — Sen ten zasłonił wnet drugi, mniéj przyjemny. Widział w nim Anetkę, gonił ją po ciemnych alejach jakiegoś ogrodu — wyciągał za nią błagalnie rękę, a ona uciekała i wołała: protestant, protestant. —

Krzyk ten go przebudził. Zdziwiło go, że i po przebudzeniu głos ten słyszał. Był to bowiem głos Zygmuntka budzącego go ze snu. —

— Ty, panie, słyszysz, wstaj — wołał chłopiec — już późna noc, muszę wracać do domu. —

August otworzył oczy.

— Co tobie było, żeś tak jęczał w nocy — przestraszyłeś mnie — rzekł malec. — Wstawaj, odprowadź mnie do domu, bo będą się gniewać na mnie. —

— Nie bój się. Nie wrócisz tam więcéj — zostaniesz u mnie. Dobrze? —

— Jakto, ja u ciebie — o mój Boże, jakiś ty dobry — zawołał chłopiec całując ręce jego. —

— Więc uśnij spokojnie — do rana jeszcze daleko.

Chłopiec usłuchał rozkazu; ale nie wrócił już na kanapę, jeno bez namysłu ułożył się przy Auguście — i przytulił się do niego. —

— Mój Boże — rzekł — żebyś ty miał głos cieńszy, toby mi się zdawało, że śpię przy cioci mojéj. — Ale, jakże ja ciebie mam nazywać teraz?

— Nazwij mnie wujaszkiem. —

— Dobrze. —

— No, śpij już. —

Chłopiec przymknął oczy, ale po chwili znowu się odezwał:

— Wujaszku, ale ja jutro pójdę pożegnać się

z dziećmi stolarza — nieprawda? Boby myśleli, żem ja zły. —

August za całą odpowiedź ucałował poczciwe dziecko w czoło i przyrzekł mu, że go tam zaprowadzi.

I rzeczywiście na drugi dzień poszedł z Zygmuntkiem do stolarza, oznajmił mu, że chłopca zabiera ze sobą; zostawił dzieciom stolarza piękne upominki w imie swego wychowanka i zabrał jego rzeczy do siebie. — Między rzeczami była fotografja Józi. August z tą fotografją wstąpił po drodze do sklepu i kupił na nią złocone ramki, co Zygmuntka do łez ucieszyło.

Ledwie wrócili do domu — Zygmuntek napierał się papieru, by mógł cioci donieść o tych wszystkich nadzwyczajnych rzeczach, które mu się od wczoraj przytrafiły. — Pół dnia męczył się mały nad wypisaniem krzywemi literkami swego szczęścia i radości. — Gdy skończył — August wziął z rąk jego arkuszek i prznczytał:

„Ciociu, ciociu, żebyś ty wiedziała; ale ty nic nie wiesz — ten wujaszek, on taki dobry, jak ty; mnie u niego jak w niebie. — Nie jestem już u stolarza — mieszkamy prześlicznie. Ja go już kocham i ty go pewnie kochać będziesz. — Całuję cioci rączki — och! ciociu jak mi dobrze.“

August przeczytał z uśmiechem list, poprawił błędy pisania a w końcu dopisał następujące słowa:

„Zdziwisz się zapewne, odebrawszy ten list. Poprzedziły go wypadki, które zmieniły całkiem moje projekta i nadzieje. Nie mam jeszcze na tyle spokoju i zimnéj krwi, bym ci to szczegółowo opisywał. Może łatwiéj mi będzie opowiedzieć ci to kiedy. Wróciłem do Wiednia sam — ale nie jestem tu sam. Mieszkamy razem z twoim Zygmuntkiem, z którym szczerze się pokochaliśmy. Pamiętaj o nas, jak my o tobie.“

Gdy już miał list wsuwać w kopertę, Zygmuntek prosił go, aby się zatrzymał, bo ma coś dopisać. —

— O czémże chcesz dopisać? — spytał August.

— O złotych ramkach na fotografji cioci. —

— Ale to drobnostka — nie warto o tém pisać.

Ale malec uparł się, że to ważne, że jeżeli on się tak tém ucieszył — to ciocia tembardziéj — i dotąd nie ustąpił, dopóki mu August nie pozwolił zrobić tego dopisku. — Poczem list wysłano. — Nie długo czekali na odpowiedź. — W kilka dni nadeszła. List był krótki — pełen wdzięczności dla Augusta i współczucia dla jego smutku. — Kończył się zaś tą wiadomością:

„Najdaléj za miesiąc ujrzę was. Państwo moi wybierają się na parę tygodni do Wiednia i mnie zabierają z sobą. Do widzenia więc.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niegdyś i dzisiaj.

I.

„Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy,
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje......“

....

„Dopiéro to na polu, gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce, bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.“

....

„Dochodzą już dochodzą zbitym w rzędy tłumem
Lasem dzid najeżonych — z hukiem, trzaskiem, szumem —
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana,
Przebitych Bisurmanów wali się złamana......“

....

Wszystko to chwilę trwało — bo z boków i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonéj sile:
Czas ginąć hufcom... młody wódz je zbiera
Zachęca ich, szykuje — obraca — naciera.“

....

„Jeden dziesięciu zwalczył......
Stęk zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!“

II.

Dano znak — dzwon się rozległ — szczęknęły podkowy
Na wygłodzonych jeźdźców — barjery i rowy
Czekają wśród areny......

....

Dopiéro to na polu — gdzie ogromne koło
Wszedłszy w szranki dżokieje pląsają wesoło
I kolorową kurtą, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak sroki się kąpią.

....

Dochodzą, już dochodzą nierównym szeregiem
Do drewnianéj barjery — niewstrzymanym biegiem
Przed gorącém natarciem przeszkodowa ściana
Roztrącona kopytem — wali się złamana .....

....

Ale baczność zwycięzco! — już z boków i w tyle
Współzawodników koło w wytężonéj sile
Spieszy — czas rów przeskoczyć... Ty zuchu na przodzie
Wszak cię pan twój wytrzymał o chlebie i wodzie
Abyś jak strzała lekko przeszywał powietrze
I kurtę rozpuściwszy na swobodnym wietrze —
Poprzesadzał przeszkody — a on ci w nagrodę
Za edukację szkapy, za ów chleb i wodę
Sprawi ucztę... no! śmiało!... już ci w dłonie klaskał...
Szkoda... dżokiej spadł z konia i głowę roztrzaskał!
I wśród wrzawy oklasków — grzmiących pod niebiosy
Rozległ się jęk i... biczów podwojone ciosy!

Juljan Mohort.

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jakkolwiek krótką jest noc letnia, zaledwie jednak pierwsze brzaski jutrzenki jasno-różową barwą malować zaczęły wschodni horyzont nieba, już szwadron jazdy powstańczéj wszedł do Staréj wsi i na około niéj, a zwłaszcza od strony młyna i grobli, przez którą przechodził gościniec pocztowy od Mławy, rozstawił konne posterunki.

Ludzie jeszcze spali we wsi i nie śniło im się pewno, że za parę godzin spokojna wioska zamieni się w krwawe pole bitwy. Forpoczty miały rozkaz nikogo ze wsi nie wypuszczać, mianowicie w stronę miasta.

W pół godziny potem ukazała się przednia straż ze strzelców złożona, potem pojedyncze kolumny strzelców i kosynierów, potem wozy, potem znów jazda.

W oddziałku tym był porządek i szyk czysto bojowy, przy każdym oddziale szedł lub konno jechał oficer, a z marsa żołnierzy widać było, że to już ludzie ostrzelani.

Tuż za kosynierami jechał na swym pysznym, choć nieco schudzonym arabie Artur, a obok, na małym podjezdku Henryk, w tużurku, w czapce lekkiéj, jak przyjechał.

— Proszę tylko o konia spokojnego, bo ja jeździć nie umiem — przyznał się bez żadnego fałszywego wstydu.

W czasie marszu nocnego, Artur pchany dziwną potrzebą wywnętrzenia się, a może i chęcią wyjaśnienia swego kroku z Piotrowiczem, opowiedział przyjacielowi całą historję swéj miłości. Henryk czasem mu przerywał szyderską lub ironiczną uwagą, ale częściéj milczał lub pogwizdywał fałszywie, co było u niego oznaką wzruszenia.

Kiedy wyjechawszy z lasu zobaczył Artur Starą wieś, o tysiąc może kroków przed sobą, zamilkł i wpatrzył się w ten dwór o dachu czerwonym, obwity mglami poranku. Pod tym dachem... w tym domu, ona w téj chwili spoczywa... spoczywa w objęciach drugiego... uśpiona pieszczotami męża!... krew Artura uderzyła we wszystkich pulsach szaloną zazdrością i bólem... Oh! gdybyż wpaść teraz... porwać ją z objęć rywala... uścisnąć... uciec z nią, lub zginąć... Ale nie... on kochał inną Polę... dziewiczą... czystą... niewinną jak lilja tego ranka rozkwitająca ..

Henryk udawał, że nie widzi wzruszeń Artura, ale z pod oka na niego spoglądał i czytał je jak z otwartéj książki. Oddział stanął nareszcie w opłotkach wsi, oficerowie zeszedłszy z drogi czekali rozkazów dowódzcy. Dowódzca się otrząsnął i zapomniał o sobie.

Artur znał doskonale położenie i dla tego wybrał to miejsce na zasadzkę.

Stara wieś ciągnęła się długim i regularnym szeregiem chat porządnych po obu stronach szerokiego traktu. O parę set kroków od karczmy, która wieś kończyła, gościniec się zniżał i po moście dość długim i jeszcze dłuższéj grobli przechodził sporą rzeczkę i staw. Tuż przy moście, ale od strony wsi, stał młyn murowany i mieszkanie młynarza. Po drugiéj zaś stronie rzeki na prawo od gościńca, był spory kawał gęstego zagajnika.

O kilkaset zaś kroków od młyna i po téjże samój stronie co wieś, nad rzeką ale na wzgórku, stał dwór otoczony obszernym i gęstym ogrodem, dochodzącym aż do stawu. Rzeka przy dworze i wyżéj młyna rozlana i szeroka, poniżéj młyna była wązka i piaszczysta i liczne miała brody, zwłaszcza teraz, przy upałach letnich.

Moskale mieli na wozach przyjechać od Mławy, a chcąc się dostać do wsi, musieli zostawić na lewo ów zagajnik, potem przebyć groble i most i minąć młyn. Artur więc tak siły swoje rozporządził:

W młynie i zabudowaniach młynarskich postawił trzydziestu strzelców co najlepszych. Prawie całą ich resztę rozrzucił po brzegu rzeki w tataraku, sitowiu, wierzbinie i w ogrodzie dworskich.

Jazdę zaś, kosynierów i kilkunastu strzelców mających bagnety przeprowadził w bród na drugą stronę rzeki i ukrył ich w wysokim i gęstym zagajniku. Gdy większa część wozów z Moskalami wpakuje się na groblę i most, strzelcy mieli dać do nich ognia, a wtedy jazda i kosyniery wypadną z lasku i zgniotą to, co po za groblą pozostanie.

Gdy Karliński rozstawiał tak swoich ludzi i oficerom plan swój tłomaczył, we wsi ruch się rozpoczął. Już jak tylko kolumny do wsi weszły i miarowym krokiem mijały ją w całéj długości, w oknach chat wiejskich pokazywały się zdziwione i przestraszone fizjonomje kobiét i mężczyzn, a tu i owdzie wyskakiwały wpół nagie dzieciaki i zaspanemi, zdziwionemi oczętami admirowały niewidziany nigdy a tak malowniczy obraz. A był on rzeczywiście prześliczny... pierwsze słońca promienie odbijały się iskier tysiącem w kosach podniesionych do góry, ułańskie biało-czerwone chorągiewki furkały w powietrzu, amarantowy sztandar z potrójnym herbem ziem braterskich łagodnie i wesoło powiewał wśród kos owych, jakby pewny, że w nich jego zbawienie i przyszłość.

W miarę usuwania się straży tylnéj chaty zaczęły się otwierać i ludzie wylegać. Każdy prawie przystanął i długo przypatrywał się niknącym w dali powstańcom.

Wkrótce wieść doszła i do dworu. Włódarz, który właśnie szedł wywoływać ludzi do roboty, widział cały oddział defilujący i natychmiast zawrócił do zabudowań.

— Nasi przyśli... nasi przyśli — biegło z ust do ust. — Polacy obsadzają most... ogród... wieś całą otaczają .. a tu Moskale nakazali podwody... będzie bitwa...

Takie słowa i kombinacje krążyły w gumnach, w kuchni, w przedpokoju.

Józia, pokojówka jeszcze z panieńskich czasów, pobiegła do pań, lokaj poszedł pana obudzić.

— Co się stało? zawołał Feliks siadając na łóżku.

— Nasi przyśli — mówią, że ma być bitwa...

— Co? jak?... zawołał porywając się młody człowiek — a! nieszczęście!... spalą... zniszczą!... Ubranie dawaj... prędko... Dobrze!... a teraz leć do stajni... niech Stanisław natychmiast zaprzęga do powozu...

I Feliks drżący, blady, rozgorączkowany ubierał się szybko, Józia tymczasem wbiegła do majorowéj. Staruszka, która bardzo rano wstawała, modliła się już siedząc w fotelu przed oknem otwartém.

— Proszę pani — zawołała dziewczyna — powstańcy przyśli...

— Majorowéj aż książka upadła.

— Co ty mówisz, moje dziecko?

— Pełniuteńka ich wieś... aż się roi... pewno z kilka tysięcy... powiadają że bitwa będzie...

— Mój Boże kochany! ze łzami w głosie zakrzy-

knęła staruszka — to ja ich jeszcze przed śmiercią zobaczę... A pewno głodne biedaczyska!... a ten mój wnuczek kochany... Boże zmiłuj się!...

— Ale i młodą panią trzeba obudzić pewnie...

— A obudź... obudź moje dziecko, ale ostrożnie... I majorowa szybko kończyła skromną toaletę.

Józia zastała już Polcię nieśpiącą. Obudziła ją rozmowa między babką i służącą, ale się domyśleć nie mogła o co idzie.

— Co się tam stało? moja Józiu... czy pan Piotrowicz słabszy?...

— Nie, ale powstańcy przyszli... podobno jest i pan Karliński z nimi.

Przebiegła dziewczyna domyślała się, że to zrobi wrażenie... Poli zdawało się, że zemdleje. Wiadomość ta spadła na nią jak iskra elektryczna. Serce jéj uderzyło gwałtownie... ciało drżało jak w febrze... łzy napływały do oczu... nie wiedziała czy to sen, czy rzeczywistość.

Ale to trwało chwilkę tylko. Równemi nogami stanęła na dywaniku i gorączkowo zawołała:

— Ubieraj mnie... ubieraj... prędzéj... prędzéj...

W téj chwili weszła babka, a Pola spostrzegłszy ją rzuciła się w jéj objęcia, i dwie kobiéty zostały tak chwil parę milcząco, ściskając się, a po ich twarzach płynęły łzy ciche bez łkań i skargi.

W pięć minut potem Pola była już ubrana w białym lekkim negliżu i w słomiannym kapeluszu, z pod którego wymykały się promienie odrastających dopiéro włosów.

W téj chwili ktoś do drzwi zapukał i wszedł Feliks. Twarz Poli zachmurzyła się i przybrała na jedno mgnienie oka wyraz zniecierpliwienia, ale zwyciężyła się natychmiast. Młody jéj mąż był zmieniony i mówił gorączkowo.

— Wiesz? zapytał.

— Wiem.

— Ubieraj się więc natychmiast — powóz w téj chwili zajdzie.

— Jakto?...

— Będzie zapewne bitwa... pożar... rabunek... wyjedziemy...

— Ja?... wyjechać?... nie...

— Ale pocóż się narażać... wszak nic... nie pomożesz...

— Będą ranni i umierający... stanowczo nie pojadę.

— Ależ to egzaltacja!...

— Wiesz, że nie zgadzamy się pod tym względem — trochę szorstko odpowiedziała Pola — możesz jechać sam.

Feluś zarumienił się trochę ze wstydu, a trochę z gniewu...

— Oh! wiem jak mnie sądzisz... Ale trudno... rozsądek każe mi jechać — a zresztą muszę doktora przysłać dla mecenasa... jest dziś gorzéj...

— Więc jedź... a potem mężczyznie może grozić niebezpieczeństwo, ale kobiécie!...

Ostatnie te wyrazy powiedziała Poła, chcąc oszczędzić męża, a zarazem wyprawić go jak najprędzéj. Dla czego chciała go się pozbyć?... Sama nie wiedziała... czuła tylko, że ten człowiek nie powinien być przy niéj... w téj chwili...

— A więc jadę — rzekł Feliks słysząc turkot zachodzącego powozu — ale Bogiem się świadczę, żem cię namawiał... Tylko na Boga nie narażaj się!... nie skompromituj nas wszystkich!... dodał ciszéj.

Wyszedł, a żona popatrzywszy za nim, wzruszyła ramionami i szepnęła jeden tylko wyraz:

— Tchórz!...

— Gdy kobiéta to wyrzecze o mężczyznie, zabity on już w jéj przekonaniu na wieki.

— Do Rogoży! zawołał Feliks, wskakując szybko do pojazdu, a ponieważ droga prowadziła w przeciwną mostowi i Mławie stronę, przepuszczono go więc bez trudności. I dobrze się stało, bo jeszcze paru wiorst nie ujechał, a już echa lasów powtórzyły karabinową salwę.

— Babciu!... babciu!... wołała Polcia po odjeździe męża — chodźmy... chodźmy... chodźmy do nich.

Ale babci nie było. Ani chwili staruszka wytrzymać nie mogła, i rozpromieniona, ożywiona, zbiegła ogrodem i boczną furtką wyszła do młyna, zobaczyć ułanów polskich!...

To było jéj marzenie i nawet za wnuczką czekać nie miała odwagi.

Kiedy majorowa stanęła przed młynem, pusto tam było — zdawało się, że żywéj nie ma duszy.

— Czy oni poszaleli? — pomyślała — tu żadnego wojska nie ma.

Ale w téjże chwili drzwi się otworzyły i z młyna wyszedł Artur w bluzie granatowéj, z burką na lewém ramieniu, z białą rogatywką na głowie...

Staruszka stanęła, otworzyła usta, a potem otwierając ręce, rzuciła się na szyję wojakowi... Jakkolwiek prosta i szczera majorowa nigdy nie byłaby tego zrobiła dla Artura w tużurku, ale nie uściskać pierwszego polskiego wojaka, jakiego widziała, to było nad siły staruszki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Położenie geograficzne jako ważny czynnik w polityce i w dziejach narodu.

Napisał

Dr. Kazimierz Szulc.

(Dokończenie.)

Obronność granic jest dla każdego narodu i państwa jedną z najważniejszych rzeczy, a mianowicie dla ludów sławiańskich. Dla niedostatku takich granic stali oni się i byli przez wieki niewolnikami innych ludów, narodem Sklawów i Serwów. Ale powyższe granice byłyby z innego względu jeszcze ważniejsze, a mianowicie z tego, że lubo najobronniejsze w świecie, przypierałyby przecież na wszystkie strony do mórz całkiem otwartych. Wtedy to dopiéro wydostałaby się ludność sławiańska z ciemnicy na słońce, z dotychczasowego swego więzienia na wolne powietrze, wtedy to dopiéro przez swobodny ruch, stosunki i ciągłą komunikację i handel ze wszystkiemi narodami świata nabrałaby czerstwéj cery, żywotnych sił, wszechstronnego i praktycznego usposobienia i pierwszorzędnego znaczenia. W innéj wykazałem rozprawie (Znaczenie handlu etc. Dzien. Pozn. Nr. 152—171 r. 1870), że kraje sławiańskie są powołane w skutek kanału suezkiego (i kaspijsko-czarnomorskiego) jako też kolei europejsko-azjatyckich pośredniczyć w handlu orjentalnym, w handlu świata, któremu wszystkie z kolei narody kuli ziemskiéj zawdzięczają swoją zamożność, swój przemysł, swoją oświatę, swoją potęgę, doczasową przewagę i przewodnictwo w świecie. Otóż jak bez rozszerzenia granic aż do zwyż wzmian-

kowanych otwartych mórz trudno będzie pozyskać ów wielki handel i wszystkie jego korzyści, tak z drugiéj strony pozyskałyby, zapewniłyby, zabezpieczyłyby go sobie niewątpliwie ludy sławiańskie na wieki, posiadłszy wskazane granice. Dotarłszy do ujść Elby i morza Północnego, stałyby się zarazem panami ujścia Baltyku i wszystkich rzek do niego uchodzących, pozyskawszy wybrzeża Adrjatyku aż po zatokę Avlony i przylądek Linguetta byliby również panami tego morza i wstępu do niego.

Mając Dardanelle zabezpieczyłyby na wszelki przypadek wstęp do morza Czarnego i wszystkich rzek do niego uchodzących, posiadając cieśninę Ormuz mogłyby zamknąć przystęp do zatoki Perskiéj i do rzek Eufratu i Tygrysu. Mając wyspę Czusymę i Sankalin panowałyby nad wstępem do morza Japońskiego i do Amuru. Posiadając nadto jeszcze wewnętrzne morza z olbrzymiemi rzekami z nimi połączonemi, jak morze Bajkał, Balkasz, Aral i Kaspijskie, żadnemu nieprzyjacielowi nieprzystępne, mogłyby wśród najzaciętszéj wojny nietylko kolejami, ale i po zwyż wyliczonych morzach i rzekach do nich uchodzących prowadzić ów wielki i zyskowny handel pomiędzy Azją i Europą. Cieśnina Sund, Otranto, Dardanelle, Ormuz i cieśniny do morza Japońskiego prowadzące, są bramami fortecznemi, z których załoga każdéj chwili może robić wycieczki na wszystkie strony świata, a których nieprzyjaciel nie jest w stanie zdobyć.

Korzystniejszego położenia geograficznego nie ma w świecie i być nie może. Gdyby ludy sławiańskie te przestrzenie i stanowiska zyskały, stałyby się niewątpliwie potężniejszemi, zamożniejszemi i świetniejszemi od wszystkich dotychczasowych narodów. Ale czyż one są w stanie zająć kiedykolwiek takie stanowiska? Mogą każdéj chwili, jeżeli zechcą i potrafią stosownie do tego się zachować i postępować. Wszystkie i najmniejsze ludy sławiańskie mogą osięgnąć najwyższy stopień pomyślności i świetności, nie narażając się na żadne nadzwyczajne ofiary, wysilenia i niebezpieczeństwa, jeżeli wszystkie bez wyjątku roztropnie i uczciwie sobie poczynać będą; z drugiéj strony wszystkie bez wyjątku popadną niezwłocznie w długą, wieczną może nędzę i niedolę, jeżeli nie zaniechają wzajemnego lekceważenia i krzywdzenia się, wzajemnéj nienawiści i zawziętości.

Żaden naród sławiański pojedyńczo, bez poparcia wszystkich innych, nie jest w stanie w obec tak ogromnych konglomeracji i potęg, jakie w najnowszym czasie utworzyły Stany Zjednoczone Północnéj Ameryki, Anglja i Prusy utrzymać, odzyskać, zabezpieczyć stanowisk niezbędnych do zdobycia i zachowania swéj niepodległości, samodzielności i pomyślności; żaden naród sławiański pojedyńczo, choćby miał Bolesława Chrobrego na czele, nie jest w stanie stawić czoła zjednoczonym Niemcom, którym, jak w wojnie francuzkiéj, zawsze będą sprzyjały a może i pomagały germańskie i protestanckie państwa Europy i Ameryki. Zjednoczone Niemcy zajmą niewątpliwie niezadługo Austrję, ujścia Dunaju, Dniestru, Dniepru, Dźwiny i Newy, odeprą Sławian całkiém od wybrzeży Baltyku, Adrjatyku i Euxynu, pozbawią ich wszelkiéj komunikacji, wszelkiéj swobody i siły, jeżéli ci ostatni nie zdołają się pogodzić, porozumieć i razem się połączyć.

Ażeby się zabezpieczyć od najazdu, strat i niewoli, ażeby odzyskać naturalne, obronne i korzystne granice, sławiańszczyzna potrzebuje sił ogromnych i to nie rozrzuconych, ale skoncentrowanych; sławiańszczyzna ażeby nie zmarnieć, ale osiągnąć należyty rozwój zewnętrzny, od którego jak najściśléj zawisł najwyższy rozwój wewnętrzny, potrzebuje niezbędnie wszystkich sił fizycznych, wszystkich posiadłości Rosji, jako téż i jéj silnéj skoncentrowanéj i sprężystéj władzy wykonawczéj.

Dla braku silnéj władzy wykonawczéj, dla braku expensywności i zajęcia niezbędnych pozycji strategicznych i merkantylnych, upadła Polska, upadły i upadały od najdawniejszych czasów wszystkie społeczności i państwa sławiańskie. Od chwili pojawienia się Sławian na teatrze historycznym, wszyscy kronikarze zagraniczni, byzantyńscy, łacińscy, arabscy, niemieccy podziwiają męztwo, mnogość, zdolność, dobroć tych ludów i oświadczają jednomyślnie, że gdyby się wszystkie zdobyły na jeden wspólny a silny rząd, nikt w świecie nie byłby w stanie im się oprzeć.

Otóż po upływie tysiąca przeszło lat ze wszystkich ludów sławiańskich pierwsza Rosja zdołała utworzyć silną władzę centralną i oto trzeci powód, dla którego wszystkie ludy sławiańskie prócz jednych Polaków na Rosję się oglądają i liczą.

8. Lecz z drugiéj strony ani silna władza centralna, ani dążność połączenia wszystkich Sławian, ani téż posiadanie i zdobywanie przestrzeni i pozycji strategicznie i komercjalnie ważnych, nie wystarczy na zabezpieczenie i uszczęśliwienie ludów sławiańskich. Siła fizyczna Rosji nie wystarczy na zdobycie Turcji i Austrji, gdyż temu nietylko te, ale wszystkie inne państwa europejskie oparłyby się, a po części nawet same ludy sławiańskie tych państw, jeżeli Moskwa nie zaniecha prześladować obcych sobie wyznań, narodowości, opinji, żaden z tych ludów nie zechce się zrzec dobrowolnie swego języka, swéj wiary, swéj exystencji narodowéj. Wolność, samodzielność, równouprawnienie i oświata jest rzeczą nie mniéj ale więcéj ważną i potrzebną dla narodów od silnéj władzy centralnéj, wielkiéj siły fizycznéj i expensywnéj.

Chiny są jedném z największych, najludniejszych, najbogatszych państw, posiadają zupełną jedność władzy wykonawczéj, języka, wiary, prawodawstwa, zwyczajów, urządzeń, a jednak nie ma prawie słabszego w świecie i mniéj wpływowego państwa od nich. Cóż innego jest przyczyną tego zjawiska jak brak rozmaitości, wolności, oświaty i postępu? Te to albowiem żywioły nadają masie ruch, życie, sprężystość, potęgę i trwałość. Wszystkie monarchje wschodnie pozbawione tych życiodajnych żywiołów, rozpadały się jak olbrzymy z śniegu lub mokrego żwiru od jaśniejszego i gorętszego światła, lub silniejszego uderzenia. Rosja w podobnymże będąca stanie, nie zdoła zbawić sławiańszczyzny, a nawet sama się utrzymać.

A jak Polsce było i jest niepodobném, mimo wielostronnego i długiego starania, zdobyć się na silną władzę wykonawczą, tak Rosji jest i będzie niepodobném zdobyć się saméj na wolność i oświatę. Kierunek kilkowiekowego rozwoju historycznego nie łatwo da się zmienić w narodzie.

Rosja bez pozyskania przychylności, współczucia i współdziałania Polski w sprawie oświaty i wolności, runie jako wschodnia monarchja, jako gliniany kolos za pierwszém uderzeniem jakiego Bismarka. Jako fizyczna siła Sparty bez duchowéj Ateńczyków nie byłaby w stanie zbawić Grecji, podobnież materjalna siła Rosji bez moralnéj siły Polski nie zdoła zbawić sławiańszczyzny. Polska stała wyłącznie wolnością, jak rzesza żydowska religją; a jak lud żydowski uwiecznił się przez gorące przywiązanie do swéj wiary, tak lud polski przez swą nieugaszoną miłość wolności. Polska wyrobiła i przyniosła w darze ludzkości wielkie i zbawcze idee. Idee wolności, równości, braterstwa i solidarności nietylko indywiduów, współobywateli, ale wyznań i narodowości.

W Polsce żadna religja, żadna narodowość nie była prześladowana. Żydzi, Grecy, Hussyci, protestanci, socynianie, Litwini, Rusini, Wołosi, Niemcy, wszyscy żyli w zgodzie obok siebie, zachowując swą religję i swą narodowość i używając zupełnéj autonomji w swych sprawach, równie jak wszystkie gminy, powiaty, prowincje i kraje.

Najwyższą, najszlachetniejszą ideą, jaką ludzkość może wymyśleć dla uszczęśliwienia świata, dla wybawienia go od największych jego ciężarów i klęsk, od armji stojących, wojen najezdniczych, ideą dobrowolnéj unji rozmaitych wyznań i ludów, tę nie kto inny tylko Polska utworzyła i w życie wprowadziła. To też sławiańszczyznę i pojedyńcze jéj narody nie co innego, tylko polska idea unji jest w stanie zbawić; dobrowolna unja oparta na zupełném równouprawnieniu i kompletnéj autonomji wszystkich gmin, prowincji, krajów, narodowości, wyznań i państw wschodnio-europejskich.

9. W rozprawie „O znaczeniu handlu" wykazałem, iż sławiańszczyzna może się wznieść do najwyższego, do nieznanego dotąd szczytu świetności, jeżeli zdoła skierować przez swoje kraje ów wielki handel pomiędzy Azją, Australją i wschodnią Afryką z jednéj strony, a pomiędzy Europą i Ameryką z drugiéj strony. Może to zaś niewątpliwie osiągnąć, jeżeli państwa położone na drodze najkrótszéj i najprostszéj tego handlu, mianowicie Turcja, Austrja i Rosja utworzą zjednoczenie celne.

Sam związek celny byłby w stanie uskutecznić unję trzech tych mocarstw sławiańskich. Wiadomą jest rzeczą, że ekonomista Fryderyk List postanowił jedność Niemiec przeprowadzić za pomocą zjednoczenia celnego rozmaitych państw tego narodu, co też i uskutecznił w przeciągu lat pięćdziesięciu, jak to przewidział i przepowiedział lat dwadzieścia naprzód Francuz Anzelm Petetin, były ambasador hanowerski i H. Carey, księgarz i ekonomista amerykański.

Do tego związku celnego państw sławiańskich możnaby z czasem przyjąć i państwo perskie i wschodnią część Prus, bez obawy, ażeby żywioł obcy w radzie czy parlamencie celnym wziął górę nad sławiańskim. Zajmowanie albo przyjmowanie więcéj krajów i ludów do związku swego, pozbawiłoby Sławian większości i koncentracji. Lecz w obec niebezpieczeństwa, jakiém po ostatniéj wojnie grożą zjednoczone Niemcy państwom wschodnim, można zjednoczenie, sfederowanie się ludów sławiańskich przyspieszyć przez zawarcie pomiędzy trzema cesarstwami wschodnio-europejskiemi, obok zjednoczenia celnego, wiecznego przymierza odporno - zaczepnego, w celu zapewnienia sobie wzajemnie solidarności i integralności. Naturalnym, koniecznym i niezwłocznym skutkiem tego rodzaju traktatów i urządzeń byłoby zjednoczenie wszystkich stanów i ludów płaszczyzn podbiegunowych, pomiędzy morzami z jednéj strony Północném i Adrjatyckiém, a z drugiéj Kamczackiém i Japońskiém, daléj pomiędzy morzem Lodowatém a Perskiém.

Lecz tę tak wielką i tak zbawienną rzecz, nie da się nigdy inaczéj osiągnąć, tylko przez zapewnienie najzupełniejszego równouprawnienia i najkompletniejszéj samodzielności wszystkim osobom, gminom, prowincjom, krajom, wyznaniom, narodowościom i państwom na téj olbrzymiéj przestrzeni się znajdującym. Ani Austrja, ani Turcja, ani Persja i ich ludy nie inaczéj zechcą przystąpić do związku celnego i wojskowego z Rosją, tylko mając najzupełniejszą pewność, że ta ostatnia uszanuje najzupełniéj ich integralność i samodzielność, i zrzecze się wszelkiego zamiaru uzurpowania dla swéj władzy, narodowości i religji jakichkolwiek prerogatyw.

Jedynym zaś środkiem i sposobem dania téj gwarancji jest udzielenie przez Rosję równouprawnienia i autonomji wszystkim narodowościom i wyznaniom, niemniéj jak gminom, prowincjom i komplexom historycznym w dzisiejszém jéj państwie zawartym. Jeżeli Rosja tego nie uczyni, to nietylko nie zdecyduje się nigdy ani Austrja, ani Turcja, ani Persja do utworzenia z nią zjednoczenia celnego i militarnego; ale owszém czując się przez nią zagrożone, będą gotowe łączyć się przeciw niéj, dla zabezpieczenia swéj integralności i samodzielności, z jéj nieprzyjaciołmi, równie jak wszystkie przez nią obecnie uciśnione wyznania i narodowości, a mianowicie Niemcy i protestanci ostsejscy, Polacy, Rusini, Litwini, katolicy i uniaci. Dla ich oswobodzenia i zabezpieczenia przedsięwzięta wyprawa przez jakiego zdobywcę zachodniego, dotrze z łatwością pod Petersburg i Moskwę i odeprze Rosję na zawsze od morza Baltyckiego i Czarnego.

10. Przeciwnie, jeżeli Rosja udzieli wszystkim narodowościom, wyznaniom, gminom i historycznym indywidualnościom swego państwa, zupełne równouprawnienie i rozległą autonomję, wtedy ludy sławiańskie innych państw taki wywrą nacisk na rządy, do których należą, iż te byłyby wkrótce zmuszone, choćby nie chciały, zawrzeć z Rosją związek celny i militarny, a mogłyby to uczynić wtedy bezpiecznie i uczyniłyby nawet chętnie, gdyby im Rosja zagwarantowała ich integralność i samodzielność.

Podobnemu dobrowolnemu połączeniu się ludów i państw sławiańskich Europa nie opierałaby się i nie mogłaby się oprzeć. Owszém ażeby odeprzeć najazdy i zabory Niemców i Germanów, ludy romańskie chętnieby zawarły ze społeczeństwem sławiańskiém przymierze odporno-zaczepne.

W takim razie nietylko Austrja, ale i Turcja czułaby się spowodowaną i zmuszoną udzielić równouprawnienie i autonomją wszystkim wyznaniom, narodowościom swego państwa, a wszystkie trzy mocarstwa zabezpieczywszy się temi koncesjami i przymierzami przeciw wewnętrznym i zewnętrznym nieprzyjaciołom, mogłyby zmniejszyć śmiało o połowę wojsko stojące, choć zaprowadzając urządzenie dwuletniéj służby dla każdego obywatela do broni zdolnego, potroiliby obronę krajową. Oszczędzoną tym sposobem połowę wydatków corocznych na wojsko, gdyby obrócili na powiększenie i polepszenie szkół, komunikacji, to w przeciągu lat kilku, kilkunastu, mogliby pobudować koleje z Europy do ostatnich kończyn Azji, uregulować rzeki, pokopać wszelkie możebne kanały, pozyskać cały wschodni handel i wznieść zamożność, oświatę plemienia sławiańskiego (bez których ono mimo swéj liczby nie jest i nie będzie nigdy w stanie oprzeć się inwazji zachodnich swych sąsiadów), niemniéj jak i potęgę do nieznanego dotąd stopnia świetności, utworzywszy z nich jedno olbrzymie społeczeństwo, nie krępujące samodzielności, wiary i narodowości żadnego z jego obywateli, żadnéj gminy, żadnego ludu, żadnego państwa.

Otóż prosty i łatwy, powolny ale pewny sposób dojścia stopniowo, na drodze pokojowéj, organicznéj, bez narażania się na wielkie niebezpieczeństwa, wojny i rewolucje, nadzwyczajne ofiary i wysilenia, do bezpiecznego, znośnego, zadowalającego i najświetniejszego stanu wszystkich ludów sławiańskich.

Ale jestże możność osiągnienia takich rzeczy w sposób wskazany, w obec dzisiejszych rządów austrjackich, moskiewskich, tureckich, które w żadną nie wierzą siłę, tylko w biurokrację, policję i pretorjanizm, które już tyle razy okazały się nawet w przeciągu kilkudziesięciu lat ostatnich bezsilnemi i wadnemi we Francji i indziéj?

Jestże cośkolwiek w stanie wyrwać je ze staréj rutyny i drogi, którą prosto zmierzają do przepaści na coraz spadzistszéj pochyłości i skierować je, nie uszczuplając im bynajmniéj ich władzy, nowemi, życiodajnemi kolejami, przysparzającemi im i ludom przez nich rządzonym nieznanéj dotąd potęgi, pomyślności i świetności?

Jest dziś w każdym europejskim kraju potęga, któréj uledz musi każdy i najabsolutniejszy i moskiewski rząd, jak to się w najnowszym czasie okazało, a tą potęgą jest opinja publiczna, jest publicystyka. Jest ona tém silniejsza, czém lepiéj i zgodniéj pojmuje i przedstawia potrzeby i sprawy swego społeczeństwa. Jeżeli więc prasa sławiańska, mianowicie polska, czeska i moskiewska, któréj na zdolnych publicystach nie braknie,

potrafi się wyrzec niższych namiętności i zawiści osobistych, koteryjnych i narodowych, jeżeli zdoła pojąć swoje stanowisko i powołanie, jeżeli zdoła się wznieść do wysokości, z jakiéj wspólne sprawy sławiańszczyzny, wolności, cywilizacji i pomyślności uważać i traktować należy, jeżeli Polacy przyznają zupełne równouprawnienie, kompletną autonomję Rusinom, Litwinom, Moskale zaś im, Polakom i t. d. — wtedy rozwinąwszy chorągiew tęczową sławiańszczyzny na znak pokoju ludziom dobréj woli, nie będziemy się potrzebowali obawiać niczego i nikogo, i zanim kilka, kilkanaście lat upłynie, będziemy najpotężniejszém państwem, a niż przyszły wiek zawita, najświetniejszém społeczeństwem świata, narodem, „jaki nebyl w minulosti.“

Inaczéj nie ma dla nas ratunku: panowanie niemieckie posunie się niebawem przynajmniéj aż do Bugu, Niemna i Dźwiny, jeżeli nie od razu aż do Wołchwy.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Polityka samobójstwa Uwagi nad pisemkiem Polska i Rosja w 1872 r. Poznań, w księgarni J. K. Żupańskiego.

Pod powyższym tytułem ogłoszona przed paru tygodniami broszura, niewiadomego autora, wymierzoną jest przeciw pismu b. Członka Rady Stanu Królestwa Polskiego, o którym obszernie daliśmy sprawę w Nr. 17 Tygodnika. — Liczne krytyki zamieszczane w pismach poznańskich i galicyjskich, nie zadowoliły widocznie autora leżącéj przed nami książeczki, postanowił więc zadać panu Radcy Stanu coup de grace i wyrzec ostatnie słowo — ale jakie?

Autor nie ucieka się bynajmniéj do spotęgowanéj w superlatywie wściekłości, ani też daje zaprawy ze wszystkich świata jadów, jak to usiłował zrobić krytyk lwowski S. B., pismo więc jego nie tyle jest śmieszne, jak nudne. Ostatnie to słowo sączy się jak dekokt lukrecji i czerni drukiem aż 39 stron niewinnego papieru.

Cóż ci zawinił, o autorze i wynalazco polityki samobójstwa, ten niewinny papier? Cóż ci zawinił czytelnik, który po przesylabizowaniu twéj broszury i zastanowieniu się, wyrzec musi mimowolnie:

„Es ist mir so dumm,
Als ginge ein Mühlrad im Kopf' mir herum...“

a potém śni przez kilka nocy o Averroësie i wszystkich ś. p. parafrazistach?

Istotnie, system polityki samobójstwa jest przedewszystkiém broszury Radcy Stanu parafrazą, któréj główną wadą jest to, że ułożoną została w prozie. Styl i pisownia bowiem zyskałyby tylko, gdyby autor przedstawił je był w formie częstochowskich rymów.

Lecz mniejsza o formę. Zwracając się do treści spodziewać się należy, że autor z jednéj strony obalił argumenta krytykowanego przez się autora, z drugiéj zaś postawił swoje własne twierdzenia i poparł je jakimś pozytywnym programem.

Zobaczmy.

Broszura Radcy Stanu ma tyle stron słabych, tyle luk wybitych jakimś niepojętym, rozmyślnym serwilizmem w obec „czci najdostojniejszych“ czynowników i rządu, że inny jaki bystry krytyk potrafiłby łatwo obrócić w perzynę całą budowę i zbawienną dla nas myśl zsolidaryzowania interesów sławiańskich na podstawie uczciwego modus vivendi między Polską i Rosją od chwili, kiedy zmieniony system rządowy téj ostatniéj wzajemne porozumienie się obu narodów umożebni. Nasz autor nie umie jednak korzystać z błędów przeciwnika. Przytoczywszy kilkadziesiąt ustępów z broszury Radcy Stanu, które istotnie są bardzo słabe i najsłabszéj nawet nie wytrzymują opozycji, polemizuje z nimi rozwlekle, niedołężnie i ckliwo aż do obrzydliwości.

Radca Stanu zaszkodził sobie i rzeczy, którą przedstawia tak niedorzecznemi, powiem szczerze, nędznemi twierdzeniami, jak n. p. że miłość ojczyzny jest uczuciem gminném, że wyrzec się musimy narodowości i języka, że nie paktować, ale bezwarunkowo na łaskę i niełaskę rządowi rosyjskiemu poddać się należy etc. Są to wszystko nędzne gadaniny, na które daje się jędrną odprawę — polemizować z czémś podobném jest prostém niedołęztwem, które stanowi cechę charakterystyczną całéj broszury o polityce samobójstwa. Autor jéj nagawędziwszy się dowoli na ten temat, który usuwa się od dyskusji sam przez się, oświadcza się wręcz przeciw polityce sławiańskiéj i wszelkiéj myśli ugody z Rosją. Natomiast stawia program niedołężnéj wegetacji prowadzącéj również do samobójstwa, za pomocą innego tylko instrumentu.

Tak tedy broszurka, o któréj mowa, nie jest tak zupełnie bezmyślną, jakby na pierwszy rzut oka sądzić można było, stawia bowiem radę „że się trzeba zrezygnować na cierpliwość, legalność, skromne, ciche organiczne działanie“ — co to jest? czego od nas chce autor? co znaczą te próżne słowa, to bezmyślne skomlenie? czyż wiecznie chcecie nas karmić plewami djalektyki?

Szukaliśmy napróżno w całéj broszurze rozwoju przytoczonego powyżéj ogólnika — nie znaleźliśmy nic — słowa tylko, czcze słowa i blaga bez sprytu i temperamentu blagi francuzkiéj.

Kto chce pisać polityczne broszury, to powinien przynajmniéj wiedzieć czego sam chce, powinien mieć choć odrobinę cywilnéj odwagi i wypowiadać jasno myśl swoją. Nasz autor schowawszy się za płot bezimienności, nazywa teorje Radcy Stanu „polityką samobójstwa“ — bardzo słusznie — myśl narodowego samobójstwa usadowiła się jednak i w jego umyśle z tą różnicą, że nie chce się powiesić, jak radzi Radca Stanu, lecz utopić — nie chce się zrusyfikować, lecz zgermanizować. Jeżeli autorowi o to chodziło, to niechże się zadowolni uznaniem, jakiego mu nie szczędziła Posener Zeitung (Nr. 284), my możemy tylko odpowiedzieć mu własnemi jego słowy: medice cura te ipsum.

La Prusse et la Russie — Encore la Guerre. — Genève 1872.

Jeszcze jeden anonim i jeszcze jedna broszura treści politycznéj, dotycząca przyszłych losów biednéj naszéj ojczyzny. Jeszcze jedna broszura — a ileż to jeszcze ich będzie?... Zrezygnujmy się na ten potop — przygotowujące się bowiem ważniejsze wypadki mają to do siebie, że poprzedzają je pospolicie takie lekkie podjazdy. Ależ wyznać należy, że my nie mamy szczęścia w takich podjazdowych utarczkach, wybierają się bowiem na ochotnika co najsłabsi harcownicy: szowiniści, deklamatorzy lub przenudni gawędziarze, opowiadający stare i znane rzeczy. Śmiałości i nowości pomysłu, stanowczego i jasnego wypowiedzenia przekonań, próżno szukalibyśmy u naszych broszuromanów — biedacy, boją się własnego cienia, boją się posądzeń, potwornych insynuacji, o które u nas tak łatwo.

Broszura „la Prusse et la Russie“ jakkolwiek wcale gładko napisana, należy przecież także do takich gawęd, po przeczytaniu których nie wiadomo, o co właściwie

autorowi chodziło. Przeważnie większa jéj część zajmuje się historją postępów polityki ks. Bismarka, którego autor nazywa największym rewolucjonistą, burzącym do gruntu resztki powagi dynastycznéj, która po wzburzeniach 1848 roku li tylko przez Napoleona III utrzymała się u steru na dawnym stanowisku.

Wyłożywszy w ten sposób małoletnie swoje zapatrywanie się na politykę żelaznego księcia kanclerza, słusznie zauważa następnie autor, że Bismark stanąwszy u szczytu potęgi, ujrzał się oko w oko z Nemezą. Z jednéj strony grozi mu potęga Rosji, która prędzéj czy późniéj musi sięgnąć po sławiańskie kraje, aby je wyswobodzić z pod gwałtu germańskiego upiora, wysysającego od wieków krew i szpik sławiański, z drugiéj zaś, zabrawszy Francji dwie prowincje, postawiwszy w jéj wnętrzu słupy graniczne o niemieckich barwach, zmusił ją szukać przymierza z rasą sławiańską.

A więc „krwią i żelazem“ upomnieć się muszą Sławianie o wiekowe krzywdy, o przyszły byt — a więc: Aux armes, vengence et revanche! zabrzmi ze strony zachodu. Nastaną straszne czasy, czasy walki rasowéj, namiętnéj do zapamiętałości, dzikiéj — zgadzamy się tu z autorem — czasy te przyjść muszą i przyjdą.

Autor oceniwszy w ten sposób sytuację bierzącéj chwili, snuje następnie szereg horoskopów dyplomatycznych, pachnących zanadto świerszczomanją, abyśmy uwzględnić je mieli, wzywa on między innemi ks. Bismarka, aby, jeżeli pragnie zwycięztwa, otoczył fałdami swego płaszcza z ojcowską miłością kwestję polską i los Polaków — dziękujemy pokornie za tego rodzaju okrywkę i musielibyśmy żywo protestować, gdyby sam autor stawszy się w drugiéj części broszury dziwnie chwiejny i niekonsekwentny, nie wyręczył nas.

Doradziwszy w jednêm miejscu ks. Bismarkowi, aby ująwszy się za Polakami postawił małą Polskę dla odgrodzenia się od Rosji i w tym celu wystąpił natychmiast orężnie, przypomniał sobie zapewne autor, że mało znalazłoby się Polaków chcących odgrywać rolę narzędzia w rękach niemieckiego kanclerza, rolę stróżów i flankierów niemieckiego państwa, przeczy więc samemu sobie mówiąc iż „Polska powinna oprzeć się wszelkim kuszeniom katów rasy sławiańskiéj i nie brudzić rąk podając je do przymierza z takim wrogiem, byłaby bowiem prędzéj czy późniéj za ten czyn ukaraną, tak jak jest już karaną za anti-sławiańską politykę w przeszłości.“

Wykazawszy tym sposobem niemożebność pozyskania Polaków przez Prusy, dowodzi autor, że nierównie większe szanse ma Rosja w razie, jeżeli idąc za wzorem Austrji, przemieni się na państwo rosyjsko-polskie, a załagodziwszy tym sposobem wiekowe spory, wspólnie z Polakami stanie nad Odrą upomnieć się o polskie prowincje.

Taką jest treść broszury, któréj autor, niewiadomo nam, czy to przez naturalną czy przez zmyśloną nielogiczność przedstawiał kolejno rozmaite kombinacje, jakich się może chwytać Polska w chwili wybuchu wojny między Prusami i Rosją, nie skłaniając się jednak stanowczo na żadną stronę.

Jakąż drogę obiorą Polacy w razie wojny między ich śmiertelnymi wrogami? Czy w stanowczéj chwili, pyta autor, znajdzie się głos dość silny, aby połączyć wszystkie siły żywotne w jedną falangę, aby zapobiedz nowéj zbrodni przez tradycjonalną niezgodę? Czy?... ach czyż potrafi z nas kto dać na te pytania odpowiedź płynącą z rzetelnego przekonania? Dziś niestety nie, ale na Boga myślmy nad tém, aby w téj stanowczéj chwili wypadła ona zgodnie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Sztuki piękne:

— P. **Zdzisław Rutkowski**, warszawianin, rzeźbiarz kształcący się w akademji sztuk pięknych w Rzymie, otrzymał pierwszy złoty medal za pracę konkursową.

* * *

— P. **Ludwik Kucharzewski** wystawił w salonie akademji sztuk pięknych w Petersburgu „Posąg z białego kararyjskiego marmuru, przedstawiający młodą chrześcijankę z palmą w ręku.“

* * *

— P. **Wiktor Brodzki**, znakomity nasz rzeźbiarz, ukończył w Rzymie popiersie i posąg Kopernika, przeznaczone na obchód przyszłoroczny do Poznania i Torunia. Popiersie przedstawia naszego wielkiego rodaka w młodzieńczym jeszcze wieku, tak jak go zdjął z natury sławny mistrz florencki Ghirlandajo.

* * *

— Rzeźbiarz **Godebski** wystawił w Paryżu, w pałacu przemysłowym, olbrzymią statuę „Wyswobodzenie“, wyobrażającą kobiétę, wznoszącą ku niebu ręce, na których widać jeszcze szczątki niedawno krępujących ją łańcuchów.

* * *

— Artysta-rzeźbiarz p. **Leopold Steinmann** wykonał biust ś. p. Moniuszki i posąg św. Wawrzyńca.

— P. **Aleksander Osiecki** wystawił w Poznaniu obraz plastyczny, przedstawiający w najdrobniejszych architektonicznych szczegółach styryjskie miasteczko Freienmark i zamek Freienschloss, i wyrobiony z korków do butelek wina szampańskiego.

* * *

— Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie mając zamiar wysłać na wystawę powszechną w Wiedniu będące w jego posiadaniu oryginalne kartony **Lituanji Grottgera**, uznało za stósowne wydać nowy nakład fotografji tego arcydzieła.

* * *

— Szczególną na siebie zwraca uwagę wystawiony we Lwowie obraz **Matejki** „Stefan Batory pod Pskowem.“ — Rzecz dzieje się pod zdobytym Pskowem przed namiotem królewskim. — Nasamprzód uderza widza wspaniała nad wszelki wyraz postać króla siedzącego przed namiotem. Śnieg pod stopami króla przykryty niedźwiedziami czarnemi. Król w kołpaku i pełnéj zbroi trzyma goły miecz na kolanach. Za nim stoi Zamojski, wielki hetman, dalej w głębi sekretarz królewski Heidenstein, Kmita, książę Ostrogski, który jakieś plany przegląda, hetman polny Mikołaj Sieniawski, ks. Dymitr Sulikowski, kasztelan gdański Jan Zborowski, bliżej tuż za królem Mikołaj Rudy Radziwiłł i wojewoda Janusz Zborowski, a daléj po za posłami moskiewskimi, młody

Baltazar Batory, namiestnik Stanisław Żółkiewski w pełnéj żelaznéj zbroi husarskiéj, hetman kozaków Jan Oryszowski i cała starszyzna wojsk polskich. Przed królem siedzącym na żelazném krześle polowém klęczy biskup prawosławny Pskowa w pełnym ornacie i podaje królowi chleb na srebrnéj tacy. Za nim w przepysznych szatach uginają kolana z podełba na króla patrzący Iwan Naszczokin, daléj na klęczkach bijący przed majestatem zwycięzkiego króla polskiego pokłony cały otulony w sobole Roman Wasilewicz Olferiew, poważna ponura postać od stóp do głów w żelazo zakutego Obelińskiego i siwy jak gołąb Jelski, niosący list od cara Iwana. Całe to hołd królowi polskiemu składające poselstwo moskiewskie, otoczone jest strażą polską. Między królem a poselstwem, u stóp Batorego tarzającém się, stanął Jezuita, legat Grzegorza XIII, Antoni Possevini, który przedstawiając królowi posłów Iwana, zdaje się ich protegować i chcieć ocalić — bo Rzymowi obiecali Moskale przyjąć katolicyzm! (Dz. Pozn.)

* * *

— **Józef Wieniawski** ukończył niedawno kompozycję większych rozmiarów p. t. „Wielki koncert“ na fortepian z akompaniamentem orkiestry.

— Na konkursie muzycznego konserwatorjum w Paryżu otrzymała medal za Solfeđżio p. **Marja Levenhoff**, warszawianka.

Skrzynka do listów.

Red. „Świtu“ we Lwowie: Nie pojmujemy istotnie o co Wam chodzi. Kilka słów odpowiedzi, które zamieściliśmy w Nr. 30 naszego pisma, bynajmniéj Was nie dotyczą — jest to przecież zbyt widoczne. Zresztą możemy Was upewnić, że nie cofamy i nie cofniemy się z pola, na którém stoimy — dowodem artykuły, które drukujemy bez ustanku. Przekonania nasze są silne, a o złą wiarę, sądzimy, nikt nie będzie śmiał nas posadzić. Wiemy dobrze, że schlebianie zadawnionym przesądom mas i drukowanie bezbarwnych, neutralnych artykułów, nierównie jest wygodniejsze; dopóki jednak iskra zapału pierś naszą ogrzewa a przedwczesna zgrzybiałość odwagi nie tępi, iść będziemy naprzód, zawsze naprzód w sprawie narodu i ojczyzny. To nasze szczere, otwarte słowo. Ale jeszcze jedno. Zdaje się, że polemika z nami jest Wam upragnioną. Jeżeli tak, jeżeli Wam to pożytek przynieść może, to przyjmujemy ją chętnie, zastrzegając sobie przedewszystkiém rycerską broń i rozumowane argumenta. A więc jak się Wam podoba.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.